

Waldemar Kuczyński.

POJEDNANIE TO ZROZUMIENIE.

Podanie dłoni Aleksandrowi Kwaśniewskiemu przez Lecha Wałęsę, i apel kilku krewnych ofiar z kopalni „Wujek”, gesty zrobione pod wpływem śmierci Papieża narzuciły temat pojednania z władcami i sługami PRL. Piszę narzuciły, bo temat pojawił się, jako przypadek, w toku od miesięcy podsycanej wrogości do „czerwonych”, łącznie z zapowiedziami ostatecznej z nimi rozprawy. To oczywiście pojednaniom nie sprzyja i choć Kwaśniewskich zaproszono na imieniny Wałęsy, co świadczy, że były prezydent jest konsekwentny, to klimat ogólny prowadzi raczej do jeszcze większego pokłócenia.

Ale czy w ogóle jest problem, a jeśli tak to na czym polega? Ja wojnę z władcami reżimu skończyłem w roku 1989, gdy stało się jasne, że reżim upadł i nie wróci. Sam ten fakt był dla mnie takim zadośćuczynieniem, że nie czuję potrzeby, by ktokolwiek, także ten, co na mnie donosił, spowiadał się przede mną. Jednak coś mnie uwiera. Gdy rozmawiam z ludźmi, nawet z przyjaciółmi, czy dobrymi znajomymi, kiedyś związanymi z władzą, a rozmowa dotyczy PRL, wyczuwam, że wchodzę na pole minowe. Rozmowa się ucina lub prowadzi do awantury. Dzieli nas „nie rozliczona” przeszłość. Jeszcze bardziej odczuwam to kiedy czytam „Trybunę” jej publicystykę i głosy czytelników. Napotykam coraz porównania, jak wzorowo problemy rozwiązywano za Polski Ludowej,

czyli za dyktatury z importu, i jakie plagi spadły na kraj kiedy PRL upadła, a nastąpiła demokracja i wolność. Czytając to czuję, że mam naprzeciw siebie obce, wrogie plemię, z którym pogodzenia nie będzie, bo ono go nie chce, bo nienawidzi wszystkiego i wszystkich, których obwinia za pozbawienie siebie czołowego miejsca w kraju i państwie. Bo nie jest w stanie przyznać, że system PRL narzuciło obce mocarstwo, że był to system rządów przy pomocy represji i strachu, a więc z natury przestępczy. To są truizmy, ale zasadnicze, bez ich uznania nie może być zgody, tak jak nie może być zgody bez uznania, przez drugą stronę, że przestępczej natury systemu nie wolno rozciągać mechanicznie i generalnie na czyny ludzi, którzy należeli do warstwy rządzącej, którzy z nią współdziałali, po prostu na 45 lat PRL-owskiej rzeczywistości. System instytucji był wcieleniem zła, rzeczywistość, była zła i dobra, także w postępowaniu ludzi, którzy systemem kierowali. Takie podejście może zbliżyć dawnych wrogów, tych oczywiście, którzy chcą się do siebie zbliżyć. Jeżeli uzna się oba człony można będzie pola minowe rozładowywać i odzyskiwać poczucie, że jesteśmy jednym plemieniem, które niezależny od nas los rozdarł i postawił przeciw sobie.

Nie wierzę natomiast w pojednanie podsuwane ludziom dawnej nomenklatury przez ich przeciwników. Mieliby bowiem władcy PRL wyznawać publicznie winy, a potem, też publicznie, dostawaliby rozgrzeszenie, albo i nie. Otóż jeżeli to dzieje się prywatnie, między tym

który krzywdził i tym którego skrzywdzono, z woli obu, lub którejś ze stron, to nastaje zgoda, albo nie, ale nie ma „przeczołgiewania”, jak pisał Ryszard Bugaj. Takie pogodzenie jest prawdziwe, ładne i wartościowe moralnie, obie strony czują się po nim lepiej i stają się lepsze. Po każdej dyktaturze, także po PRL, zostawały miliony zaszłości między ludźmi, które mogły być i są powodami do jednostkowych, osobistych pojednań i oby jak najwięcej ich było. Ale kiedy to ma się dziać publicznie, to warto zadać pytanie, czy chodzi o pogodzenie, czy o upokorzenie ludzi, którzy rządili lub służyli władzy PRL, nawet podle, jako donosiciele? Osoba na którą donoszono, lub skrzywdzono, ma prawo ujawnić krzywdzicieli, jeśli uzna to za coś dobrego. Ale nie pod hasłem pojednania, jak to wyszło z telewizyjną spowiedzią człowieka, który donosił na wybitnego działacza opozycji. Było w tym „teatrze” wyłącznie upokorzenie, jakby zemsta dawnego opozycjonisty. Otóż po upokorzeniu nie ma pogodzenia. Upokarzanie jest pochodną wrogości, a jeśli trwa wrogość, czy nienawiść, po którejś ze stron, pogodzenia nie będzie. W towarzystwie tych uczuć można się pobić. Godzić można się, gdy odczuwamy żal do kogoś kto nas skrzywdził i do siebie, jeśli czujemy, że kogoś skrzywdziliśmy. Żal to uczucie dobre, inne niż wrogość i nienawiść, które są uczuciami złymi. Właśnie przez obecność tych złych uczuć część głosów o pojednaniu brzmi fałszywie. Żalu za krzywdy doznane i sprawione w PRL, czyli uczucia, które może godzić mamy nadal, po obu stronach, o wiele mniej niż

wrogości.

A jakie to są strony, oprócz pojednań prywatnych nie budzących wątpliwości. Kto z kim ma się jednać? Oczywiście postkomuniści z narodem, padnie odpowiedź, „oni” z „nami” używając starego schematu. Czyli identycznie, jak między jednostkami, tyle, że w jakiejś publicznej formie, mają się godzić dwie zbiorowości, będące wobec siebie w relacji krzywdziciele i skrzywdzeni. Otóż jest kilka powodów z których ustawienie zbiorowości w takiej relacji jest wątpliwe.

Powód pierwszy; gdyby nie znaleźli się w 1945 roku Polacy chętni objąć zarząd Polską Ludową, to mielibyśmy zarząd importowany, zapewne, jako Polska Republika Rad. Odmowa nie skłoniłaby Stalina do dania nam wolności. Raczej bardziej zaludniłby Polakami Syberię. Ja to uznaję za pewnik, ale kto sądzi inaczej, też nie może tej ewentualności wykluczyć. A ona przemawia za postkomunistami i bardzo licznymi nie komunistami, którzy wtedy im pomagali. Między kierownikami PRL, a resztą nie było odrutowanej granicy, jak w Południowej Afryce, jedni przechodzili w drugich i na odwrót. Do tego stopnia, że dziś są problemy z odróżnieniem, dokąd kontakty, na przykład księży z MSW, były jeszcze elementem stosunków państwo - kościół, a odkąd stawały się donosicielstwem. Dzięki temu wszystkiemu naród dręczony był mniej dotkliwie. Oczywiście są w historii PRL ludzie - bestie, gorsi niż byliby Rosjanie, czy zruszczeni Polacy. Ale to nie zmienia faktu, że polski zarząd

Polską, jako prowincją imperium sowieckiego, był mniejszym złem i mniejszą udręką niż byłby sowiecki zarząd Polski, jako republiki ZSSR. Rodzima nomenklatura złagodziła los narodu. Racje w 45-leciu nie były tylko po stronie tych, którzy z systemem walczyli. One były podzielone.

Powód drugi; zło zawarte w ustroju demoralizowało wszystkich, rządzących i rządzonych. Ten fakt nie burzy, ale zakłóca prosty podział na panów i poddanych ustroju, jeśli chcemy rozumieć go tak, że ci co zarządzili ustrój podpierali, a reszta się mu opierała i że wobec tego jedni muszą się spowiadać, a rolą innych jest przesłuchać, osądzić i ewentualnie wybaczyć. System miał wymagania, od jednych wymagał, by pisali kłamstwa i bzdury, by bardziej niż złodziei tropili książki i myślących inaczej niż PZPR, a nawet - to już nie podlega pojednaniu, lecz sądom - by popełniali zbrodnie. Od innych, by tłumnie maszerowali na pierwszego maja, 22 lipca, by wrzucali kartki do urn bez skreśleń i wchodzenia za kotarę, i równie tłumnie uczestniczyli w masówkach, podczas zarządzanego „entuzjazmu ludu”, albo „gniewu ludu”. I większość się na to godziła, legitymizując takim zachowaniem ustrój, także wtedy gdy odmowa kosztowała już niewiele, lub nic. Nie wypominam nikomu, niczego, rozumiem powody, które za masowym asekurowaniem się stały, uważam go właściwie za normalny sposób zachowania większości ludzi żyjących w dyktaturze. Przypominam go po to, by uświadomić, że nie wychodziliśmy z komunizmu, podzieleni na

„społeczeństwo” nieskalane uległością i na zdrajców z nomenklatury, czy tym bardziej podzieleni na ofiary i katów, jak to często ostatnio słychać. Oba te schematy, wspierają domaganie się od postkomunistów wyznania win i żałowania za grzechy, ale nie przystają do rzeczywistości. Są oczywiście po okresie PRL ludzie, których można tak podzielić, ale nie da się tego podziału wiarygodnie rozciągnąć na społeczeństwo.

Ponadto ogromna część narodu, a w niektórych sprawach większość jest z postkomunistami od dawna nieźle pogodzona, a może nigdy nie uważała się za skłóconą z nimi. Mawia się o dawnych władcach, że to kaci, zdrajcy, wasale Moskwy i tak dalej. Więc stawiam pytanie; czy ludzie wolni, w kraju demokratycznym daliby władzę tym, którzy nimi już rządzą, i którzy pozostawaliby w ich pamięci, jako kaci? Czy SLD zdobyłby władzę w roku 1993, zaledwie 4 lata po upadku PRL, i powróciłby do niej w roku 2001 zyskując 41 % głosów, gdyby powszechnie uważano ich za nierozliczonych zdrajców? Czy Aleksander Kwaśniewski wygrałby z Lechem Wałęsą w roku 1995 i rozgromiłby przeciwników zyskując 54 % głosów w pierwszej turze wyborów 2000 roku? A generał Jaruzelski? Przez całe szesnastolecie III RP miał za sobą połowę, lub więcej niż połowę Polaków, gdy chodzi o ocenę zasadności wprowadzenia stanu wojennego, a także o to, czy jest patriotą. Liczba przeciwników wahała się między jedną trzecią i jedną czwartą. Żadna partia żądająca rozrachunków, ani żaden rozrachunkowy polityk, a nawet zjednoczona

prawica, jaką był AWS, nie miały podobnego poparcia. Czy byłoby to możliwe bez wcześniej ukształtowanego przekonania, że problem zbiorowego rozliczania za czyny w PRL nie istnieje? Ja wątpię, czy byłoby możliwe takie zaufanie, ale jeśli uważa się inaczej, to trzeba wyjaśnić, dlaczego ogromna masa narodu, w pewnych sprawach większość, wybierała katów i im ufała? Dlatego, że jest ciemna? Słyszałem uzalanie się historyka z IPN, na zasięg takich ocen w narodzie. Zamiast się żalić trzeba zrozumieć, dlaczego tak jest? W rzetelnej odpowiedzi na to pytanie kryje się prawda o Polsce Ludowej, która dzisiaj jest zarazem odłaniana i w szczególności, nie cenzuralny, lecz emocjonalny, sposób zakłamywana.

Więc jeżeli mówić o potrzebie pogodzenia zbiorowego, to jedynym do którego może być podstawa jest pogodzenie między tą częścią narodu, która na przykład uważa generała Jaruzelskiego za patriotę, a tą która chce go zaprowadzić przed sąd za 13 grudnia, czy odbierać mu stopień generalski. Nawet nie wiadomo kto tu jest większością, a kto nie. To pogodzenie nie może się więc dokonywać tak, że jedni wyznają winy, a inni wysłuchują i rozgrzeszają lub nie rozgrzeszają. Ono może się dokonać przez oczyszczenie z osobistych urazów lub upodobań do PRL ogląd tamtego czasu, przez jego zrozumienie, które jest słabe. Rozrachunkowcy widzą PRL, jako pasmo prześladowań narodu przez nieliczną mniejszość wysługującą się Moskwie, podczas gdy inni, nie tylko

ci, którzy należeli do warstwy rządzącej uważają 45 lat Polski Ludowej za dobry, a nawet bardzo dobry kawałek historii, i w gardle stoją im słowa, by system ówczesny uznać za przestępczy. Kawałki prawdy o przeszłości są i tu i tu, a pojednanie w zbiorowym wymiarze nastąpi kiedy one się do siebie zbliżą. A jeśli się nie zbliżą, co jest prawdopodobne, to jedynym pojednaniem będzie zgoda na cmentarzach, a o krzywdy z czasów PRL będą się kłócili synowie, wnuki i prawnuki i może nawet będą chcieli się rozliczać za ojców, dziadków, i pradziadków.

(Wersja publikowana - "Sfałszowane rachunki" - "Polityka" nr. 24/2005)